



## Pomniki przeszłości i rocznice dziejowe.

Sprawa opieki nad pomnikami przeszłości pozostawia u nas bardzo wiele do życzenia. Wprawdzie w ostatnich czasach, pod wpływem rozwijającego się wśród ogółu zamięłowania do swojszczyzny i na skutek starań

Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości, poprzednie rozpaczliwe położenie tej sprawy zaczęło się zmieniać powoli na lepsze. Jakże nam jednak daleko do tego, żeby ogół rozumiał wagę i piękno zabytków, żeby choć większość mieszkańców danego miasta lub miasteczka

wiedziała dokładnie, jakie i jakiej wartości zabytki znajdują się w danym mieście i w okolicy pobliskiej, kiedy i za czyją sprawą one powstały, jakim przemianom uległy w kolei wieków, do jakiej epoki, lub epok

należą, — żeby nadto ogół otaczał należytą opieką i czią dane zabytki. — Opieka zaś troskliwa i cześć bezwzględnie im się należą. Nie dlatego wcale, żebyśmy mieli uważać za dobre i piękne to wszystko, co było

w naszych dziejach, całą naszą przeszłość, a więc i zabytki, pozostałe po naszej przeszłości. Bynajmniej. Przeszłość naszą sądzimy surowo, ale chcemy ją sądzić bezstronnie, a przytem możemy ją sądzić nie jako widzowie zimni i obojętni, ale jako jej bezpośredni



OPACTWO W CZERWIŃSKU  
OD STRONY POŁUDNIOWEJ.

Fot. ze zbiorów Tow. M. Fotograf.

następcy, gorąco do swych gniazd rodzinnych i do swych pieleszy domowych przywiązani. Dlatego też zdajemy sobie jasno sprawę z błędów i wad ojców naszych, ale nie zamykamy i zamknąć nie możemy oczu na piękne i do-



datnie strony życia polskiego w dawnych wiekach.

A piękną stroną tego życia, co w dal od nas odbiegło, były, są i będą pomysły i porwy artystyczne budowniczych, rzeźbiarzy, malarzy i wielu innych dawnych mistrzów, zakłęte w dzieła sztuki kościelnej i świeckiej,—czy to jako świątynie, zamki, pałace i domy, wznoszone z granitu, piaskowca, wapienia lub cegły doskonale palonej, czy to jako zameczki, dwory, dworki, kościółki, dzwonnice, domki, lub budynki gospodarskie, stawiane z drzewa odwiecznym słowiańskim obyczajem, czy to jako rzeźby, wycięte w drzewie, wykute w szarym kamieniu, lub w marmurze, czy to jako obrazy, przeważnie święte, często, z punktu widzenia dzisiejszej techniki malarstwa, nieudolne, ale prawie zawsze będące wyrazem szczerzego, gorącego uczucia artysty, czy to wreszcie jako przedmioty przemysłu artystycznego: złotnictwa, odlewnictwa, haćciarstwa, ślusarstwa, stolarstwa i wielu innych gałęzi tegoż przemysłu. Wyrosłe na naszym gruncie, noszące prawie zawsze cechy swojszczyzny, choćby nawet, w pewnych wypadkach, przy udziale mistrzów innej narodowości powstałe, pomniki te artystyczne, które są zarazem pomnikami dziejowymi, co wspólnie z narodem całym przeszły morze klęsk i bólów i same wśród klęsk tych nieraz stały się jeno ruiną, są drogie,—a przynajmniej drogie być powinny sercu każdego z nas, jako nić widoma, łącząca przeszłość naszą z teraźniejszością, jako świadectwo oczywiste naszej dawnej a wysokiej kultury, jako skarb, którego winniśmy pilnować i który winniśmy przekazać przyszłym pokoleniom.

Jakże mamy opiekować się tymi skarbmami, z których wiele, bardzo wiele potrzebuje rychłej, kosztownej i umiejętnej opieki? Zadanie to niełatwe, a nawet, jak dla naszych natur zapalnych i gorących, ale niewytrzymałych i niesystematycznych, bardzo trudne.

Jednakże zapał i gorące uczucie są to bardzo cenne przymioty i nie potrzebujemy wcale się ich wstydić, tylko je należy pokierować i, powiedziałbym, wykształcić. Jak wiadomo, lubimy bardzo, o ile tylko możemy, urządzać rozmaite obchody uroczyste, chociaż, na ogół, położenie nasze obecne tak bardzo znów nie daje nam wielu powodów do urządzenia podobnych uroczystości, które pochla-

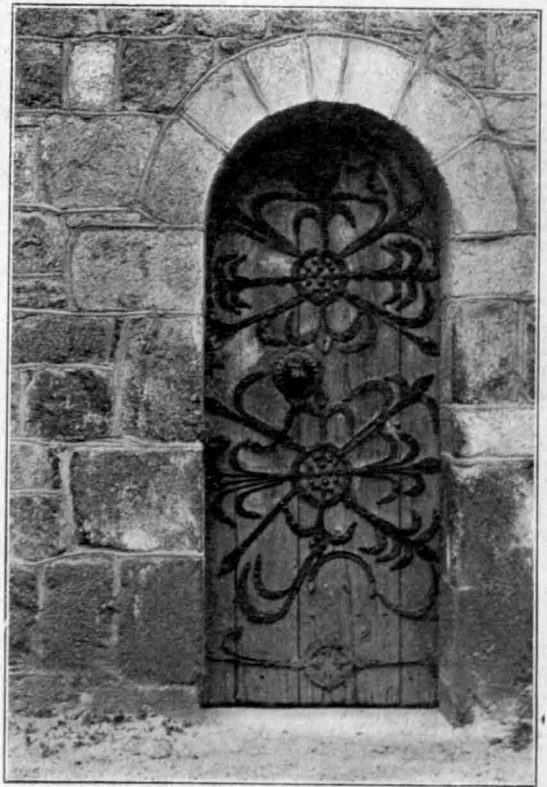
niają zbyt wiele czasu i energii i które, co gorsza, dają pozór fałszywy, że się coś i to coś ważnego robi dla kraju i społeczeństwa, podczas, gdy właściwie nic takiego się nie robi. Czyby więc—rzucamy myśl—nie można było na przyszłość skierować tego naszego polskiego gorącego uczucia, co to wymaga natychmiastowych i widomych rezultatów silnego, ale krótkotrwałego napięcia swej energii, czyby—pytamy—tego naszego uczucia nie można było skierować w poszczególnym wypadku ku artystycznemu, opartemu na istotnym znawstwie odrestaurowaniu, względnie zabezpieczeniu od dalszej ruiny wybitnego zabytku dziejowego—ofiarami całego społeczeństwa i przy współudziale w tej pomnikowej pracy najwybitniejszych naszych sił artystycznych. Winienem tutaj zaraz dodać, że mam na myśli ratowanie w sposób powyższy tych głównie pomników dziejowych, które leżą, że tak powiem, na uboczu, t. j., znajdują się w mniejszych miastach, w miasteczkach i po wsiach. Najbliższa okolica najczęściej nie rozumie wagi i wartości tych zabytków, a, gdyby nawet wartość tę rozumiała, nie ma ani sił, ani środków odpowiednich do należytego ich zachowania. Trzeba więc jej przyjść z pomocą, tembardziej, że sprawa to obchodząca ogół społeczeństwa, tembardziej, że właśnie po wsiach i miasteczkach należy rozpalać zagasłe i stwarzać nowe ogniska kultury, nauki i sztuki, nie tej oderwanej od życia, ale z życiem teraźniejszych i przyszłych pokoleń najściślej związanej. Wtedy bowiem wieś i miasteczko poczują się częścią nierozłączną całości, wtedy życie na prowincyi zabije żywszem, pełniejszym tętnem.

Oto nadszedł rok jubileuszowy słynnej bitwy grunwaldzkiej, która uratowała Polskę i całą Europę wschodnią od nawały krzyżackiej i od zalewu germańskiego. Jakże mamy obchodzić ten rok i czem możemy go upamiętnić? Wznieść pomnik, który podniesie i pokrzepi nasze serca! Tak, ale nie taki, jaki w Krakowie ma stanąć dzięki ofiarności wielkiego artysty, choćby to miał być pomnik istotnie piękny i wspaniały, i to nietylko dlatego, że wzniesieniu podobnego pomnika u nas warunki nie sprzyjają, i że mamy wiele innych pilniejszych potrzeb, ale przede wszystkim dla tego, że mamy mnóstwo innych wybitnych pomników, które możemy i powinniś-



my ratować. Moglibyśmy, na przykład, w roku bieżącym przystąpić do restauracji jednego z najdawniejszych i najcenniejszych naszych zabytków z epoki piastowskiej — starożytnego kościoła i dawnego klasztoru w Czerwińsku nad Wisłą, pobudowanych w XII jeszcze wieku, a w 1410 r. goszczących w murach swych Jagiełłę i całe rycerstwo polskie, które właśnie tutaj, pod Czerwińskiem, przeprawiało się przez Wisłę, idąc na bój stanowczy z przeciwnym wrogiem.

Położony na Mazowszu, które przez dwa stulecia było widownią krwawych zapasów Polski ze zradzieckim zakonem, nad macierzą wód naszych, którą zwolna, ale systematycznie oplątuje kolonizacja niemiecka, Czerwińsk — dziś nędzna miścina, niegdyś środowisko kulturalnego życia możnego zakonu kanoników regularnych — stanowi ważną placówkę, którą nie tylko utrzymać, ale której znaczenie podnieść i wskrzesić powinniśmy. Zachowany dotychczas wcale dobrze w stanie pierwotnej struktury z XII wieku piękny kościół w Czerwińsku ze swoimi wyniosłymi romańskimi wieżami, ze swym odwiecznym portalem głównym i półokrągłą od wschodu absydą, jak również zrujnowany już dziś klasztor czekają, zda się, na czyn rozumny i obywatelski, któryby je przywrócił do dawnej świetności, któryby we wskrzeszonych murach klasztornych założył wzorową szkołę, rzucającą promienie oświaty na całą okolicę. Gdyby zaś — na razie — nie można było założyć tam wzorowej szkoły, bądź ogólnokształcącej, bądź rolniczej, lub innej specjalnej, — należałoby tymczasem w odnowionym gmachu klasztornym założyć ochronkę, czytelnię, salę odczytową, dom ludowy i muzeum ziemi mazowieckiej. Wskrzeszony dla potrzeb kulturalnych, pilnych a żywych, gmach dawnego klasztoru wspólnie z sąsiednią świątynią, odrestaurowaną z całym, należnym dla jej sędziwego wieku pietyzmem, wywrą nader dodatni wpływ na miasteczko i na całą okolicę. A, jeśli wolno puścić wodze fantazyi, — widzimy ze wszech stron Polski zjeżdżające się do Czerwińska na uroczystość rozpoczęcia odbudowy liczne rzesze, które nie wysłuchują pięknych, kunsztownie ułożonych mów, nie uczestniczą w bankietach i ostentacyjnych przyjęciach, nie myślą wcale dokonywać wielkiej politycznej manifestacji, ale poważnie i bez rozgłosu spełniają swój obowiązek obywatel-



DRZWI BOCZNE KUTE      Fot. ze zbiorów Tow. M. Fotograf.  
W OPACTWIE CZERWIŃSKIM.

ski i tem najdobitniej stwierdzają, że żyjemy i że żyć mamy niezaprzeczone prawo.

Gdyby projekt powyższy nie mógł być urzeczywistniony, należałoby przystąpić do restauracji dawnej kolegiaty w Wiślicy nad Nidą, wzniesionej w epoce słynnego w dziejach Statutu Wiślickiego 1347 r. przez Kazimierza Wielkiego, którego 600-na rocznica urodzin przypada w roku bieżącym. Starożytne mury tej poważnej i pięknej świątyni gotyckiej wymagają pilnej i gruntownej naprawy i społeczeństwo nasze grosza swego na tę naprawę poskąpić nie powinno.

A potem inne odbudowy, inne pomnikowe prace, — aż nić, łącząca przeszłość z przyszłością nabierze mocy i stanie się nierozzerwalną.

Fantazyj! powiecie, na które nie starczy nam sił ani środków. Niech i tak będzie, — ale tem gorzej dla nas. <sup>1)</sup> *Kazimierz Rakowiecki.*

<sup>1)</sup> Analogiczny projekt restauracji cennego zabytku poruszony został przez Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, za sprawą którego część dawnych gmachów cysterskich w starożytnym Sulejowie ma być odnowiona i przerobiona na szkołę rolniczą. Projekt ten, doskonale opracowany i bliski urzeczywistnienia, zasługuje na szersze poparcie. (Przyp. autora).

## DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

### 4. Dwór w Zagości.

Niedaleko od Pińczowa, na samem pograniczu dawnej ziemi krakowskiej i sandomierskiej, leży na lewym brzegu Nidy wieś Zagość. Jest to bardzo stara osada, wspominana już w nadaniu ks. Henryka, syna Bolesława, „ducis Poloniae“, z roku bodaj 1153-go. Za czasów pierwszych Piastów była to wieś książęca, potem królewska. Zagojskie starostwo niegrodowe, w województwie sandomierskiem, powiecie wiślickim, było w roku 1748 w ręku Jana Wielopolskiego, później miecznika Ogińskiego, i przez tegoż ustąpione zostało w r. 1785-ym Feliksowi Łubieńskiemu, późniejszemu ministrowi sprawiedliwości z czasów Księstwa Warszawskiego. Młody starosta zaglądał tu często, a po upadku Rzpltej przemieszczał tu w ciągu lat kilku. Tu urodził mu się syn Józef, zamieszkały następnie w Poznańskiem, autor dzieł religijnych i ekonomicznych, założyciel domu handlowego w Gdańsku. Według ostatniej lustracji starostwa Zagojskiego z r. 1789: „rezydencja do-

syć obszerna i wygodna na błoniach ku Nidzie; sam dwór na podmurowaniu, o kilkunastu pokojach, drewniany, pod gontem, nietylko dla wygody użyteczny, ale i do struktury niemało kosztujący; ogród włoski wokoło szpalierami obwieszony, gdzie oranżerya murowana, bez dachu, pusta“. Ten to dwór widzimy na załączonej fotografii.

Po przejściu wszystkich dawnych królewskich na skarb, dobra Zagości nadane zostały w r. 1836 na prawach majoratu generałowi Tutczek.

Kościół w Zagości wznosił Kazimierz Wielki około r. 1353 (na miejscu dawniejszego), uiszczając się z pokuty za zabicie Baryczki. W r. 1606 Zygmunt III przeznaczył probostwo w Z. na uposażenie wikaryuszów kolegiaty wiślickiej. Za Jana Kazimierza wojska Rakoczego złupiły kościół. Od r. 1819 parafia Zagość stanowi znowu oddzielne probostwo. Kościół starożytny, z ciosowego kamienia, nie przechował żadnych zabytków.

W pobliżu Zagości, pod Grochowiskami, stoczona została w marcu 1863 r. krwawa bitwa przez wojska Langiewicza.

# Lud polski na Górnych Węgrzech.

3)

Za jednolitością ludów karpackich przemawia też wspólna im wszystkim tak zwana „waszyczyna“, objawiająca się dziś już tylko w niektórych wspólnych wyrazach i nazwach miejscowych, a ciągnąca się całym łańcuchem gór od Dunaju aż w Siedmiogród.

Lud polski na Górnych Węgrzech — a mówimy tu o ludzie polskim, który klasyczni świadkowie: Czesi i Słowacy uznają za polski — jest w największej poniewierce narodowej. Rząd węgierski nie uznaje od czasu Józefa II odrębnej polskiej narodowości, stale osiadłej na Górnych Węgrzech, zaliczając ją częścią do Słowaków, częścią do Rusinów, czego następstwem jest, iż ludność polska pozbawiona jest nawet tej odrobiny praw narodowych, jaką posiadają Słowacy i Rusini w państwie węgierskiem. We wszystkich bez wyjątku gminach polskich na Górnych Węgrzech sprawują księża słowaccy duszpasterstwo w języku słowackim, greckokatolicka zaś ludność polska — nie obrządek bowiem lecz język rozstrzyga o narodowości — znosi to samo utrapienie z ruskimi księżmi. Z kościoła więc język polski wygnany zupełnie: kazania, obrzędy, modlitwy, śpiewy odbywają się w języku słowackim lub ruskim, w niektórych zaś polskich miejscowościach są nawet starym słowackim zwyczajem czeskie śpiewniki i modlitewniki w użyciu. W gminie i szkole ludowej, o ile w niej nie panuje madziarszczyzna, to samo; tym sposobem odbywa się wynaradawianie ludu polskiego podwójnie, ze strony państwa w kierunku madziaryzacyjnym i ze strony społeczeństwa pobratymczego w kierunku słowaczenia lub ruszczenia, przyczem stwierdzić należy, iż prądy wynaradawiania, wychodzące ze strony pobratymczej — madziaryzacja jest wręcz obca i nie posiada oparcia żadnego wśród miejscowej ludności — są o wiele niebezpieczniejsze i groźniejsze, jak to widać na ogromnych spustoszeniach narodowych, jakie one sprawiły wśród ludności polskiej.

Język słowacki w okolicach z przeważającą ludnością słowiańską jest językiem krajowym społeczeństwa, uważany za mowę ludzi lepszych i wykształćszych, uchodzi przeto powszechnie za coś lepszego i wyższego, niż gwara miejscowa ludu. Tym sposobem zniżyła się polszczyzna do rzędu chłopskiej, grubej gwary. Dr. Czambel, doskonały znawca stosunków na Słowaczynie, pisze, że panowie węgierscy, szlachta, w północnych Węgrzech wywyższają słowaczynę nad polszczyznę i ruszczyznę, z Polakami i Rusinami mówią po słowacku. W rodzinach pańskich (madziarskich),

w których życzą sobie, żeby dzieci znały mowę słowiańską, biorą do nich słowackie piastunki, nigdy zaś Polki lub Rusinki. Wywyższanie mowy słowackiej między gwarami słowiańskimi przez pańskie rodziny madziarskie wytworzyło u ludu pospolitego powszechne mniemanie, iż język słowacki jest w porównaniu z mową polską lub ruską językiem pańskim, wznioślejszym i jak się wyrażają „fajniejszym“. Píše on dalej: „Lubo nie śmiemy nawet porównywać poziomu naszego języka z poziomem oświatowym języka polskiego, a nawet galicyjsko-ruskiego, Polacy i Rusini Górnych Węgier nie doznają żadnej korzyści z oświaty swych narodów, oderwani od nich geograficznie. Węgierscy Polacy po największej części nawet czytać po polsku nie umieją. Księża u nich Słowacy, którzy z kazalnicy każą im po słowacku. Rusinów przynajmniej chroni od tego wyznanie, chroni ich od nieswojskich duszpasterzy... Język słowacki jest językiem kazań w 429 rzymsko-katolickich, w 42 ewangelickich, w 6 kalwińskich kościołach — uwzględniam tylko większe gminy, — ruski w 91 cerkwiach, polski zaś ani w jednym kościele. Dodać trzeba, że Słowacy posiadają od kilkuset lat nie tylko swoje własne piśmiennictwo kościelne, lecz także świeckie... Trzecią przyczyną są społeczne przesady i uprzedzenia. W całym kraju wyśmiewają się z ludzi, mówiących inaczej po słowiańsku, niż miejscowi ludzie lub okoliczni Słowacy. W obrębie narzeczy wschodnio-słowackich wydrzeźniają i wyszydają Polaków i Rusinów mówiąc: „Jedno jaje, co ma hoře chwist, to su szist; co ma dołu chwist, to su dewjat“ albo: „Jedna paliczka a dwa jaja, to su sto“ i t. p.

Takie mniej więcej panuje wyobrażenie o wyższości języka słowackiego pomiędzy całą polską ludnością stałą Górnych Węgier, która obok swej gwary rodzimej, używanej tylko pomiędzy sobą, w rodzinie, w obrębie wsi, wszędzie na zewnątrz posługuje się „wznioślejszą“ mową słowacką.

Tym sposobem bardzo są utrudnione badania językowe na ziemiach Górno-Węgierskich i tem też tłumaczą się sprzeczności w orzekaniu, czy ta lub owa osada jest polska lub słowacka. Stosuje się to w szczególności do badaczy słowackich i czeskich, którzy nie znają języka polskiego, nie można im nawet przypisywać złej woli lub chęci zaborczej, jeśli tę lub ową osadę polską orzekną jako słowacką. Gdy czeski lub słowacki badacz przemówi do kogokolwiek z ludności polskiej w swoim języku, względnie Czech w mowie na-



giętej do słowackiej, otrzyma niezawodnie odpowiedź po słowacku. Trzeba dopiero głębszego rozpatrzenia się w stosunkach miejscowych, głębszego wniknięcia w istotę miejscowej ludności, by uniknąć omyłki i rozpoznać prawdziwy stan rzeczy pod względem narodowo - językowym, zwłaszcza, iż upośledzony i poniewierany lud polski na Górnych Węgrzech kryje się z gwara ojczystą, z swoim skarbem rodzimym, przed światem zewnętrznym, niedowierzając żadnemu obcemu człowiekowi“.

Może też zdarzyć się podobnie także badaczowi polskiemu, jak słowackiemu i czeskiemu, jeśli nie zdołał pozyskać zaufania mieszkańców polskiej osady, iż na pytania polskie otrzyma odpowiedzi słowackie i na tej podstawie zaliczy polską wieś do osad słowackich. Dlatego i polskie orzeczenia co do osad na Górnych Węgrzech pod względem narodowym różnią się dość znacznie i nie jedna osada polska uchodzi nawet w naszych źródłach niesłusznie za słowacką.

Na „uziemiu mieszanem“, polsko-słowacko-ruskim, mianowicie: Spiskiem, Szaryskiem, Abańjeckiem i Ziemleńskim zajmują Polacy nawet wobec upośledzonych Rusinów niekorzystne stanowisko. Tych chroni przynajmniej przed słowaczeniem obrządek grecko-katolicki, który dla ludności polskiej tegoż obrządku oznacza z powodu duszpasterstwa ruskiego ruszczenie. Co grecko-katolickie — uważane jest za ruskie, chociaż gwara przeczy temu dobitnie, a w szczególności na Górnych Węgrzech nie może obrządek orzekać o narodowości. Dr. Maksymilian Gumpłowicz w rozprawie „Polacy na Węgrzech“ zwraca słusznie na to uwagę, wspominając o starej prelaturze spiskiej św. Marcina, której początki są niewiadome, w tym sensie, iż obrządek grecko-katolicki w tych stronach jest wypływem starego słowiańskiego obrządku cyrylo-metodyjskiego, nie wiąże się zupełnie z narodowością, obejmując zarówno ludność ruską jak polską. Píše on: „Przypomina ona (prelatura św. Marcina) tak bardzo osieroconą kapitułę nitrzańską, którą król Stefan ku wielkiej swej radości zastał niespodzianie w Nitrze, że mimowoli nasuwa się nam pytanie, azali osierocona kapituła spiska nie jest równie szczątkiem jakiego zniszczonego biskupstwa staro-słowiańskiego z czasów Swatopluka“. Zgadzałoby się to z faktem, stwierdzonym przez dr. M. Sokołowskiego, że chrześcijaństwo do Polski przyszło ze Słowaczyny drogą sądecką, która wychodzi ze Spiżu. Wskazuje na to równie krzyż prawosławno-grecki w her-

bie prałata spiskiego. To też Szemberg przypuszcza, że ta część ludności słowackiej, która jest obrządku grecko-katolickiego w żupaństwach: Spiskiem, Szaryskiem, Abańjeckiem i Ziemleńskim, jest szczątkiem kościoła z czasów św. Metodego i Cyryla, kiedy państwo wielko-morawskie sięgało po Bug i Styr“.

Wobec wyjątkowych warunków i stosunków, w jakich żyje lud polski na Górnych Węgrzech, zaiste dziwić się nie można, iż stracił świadomość narodową i nawet nie wie, chociaż utrzymał prawdziwie bohatersko skarb mowy ojczystej, jakim się posługuje ze swoimi językiem, zowiąc go „naszym“. Na pytanie bowiem, gdy mówi po polsku — jakim mówi językiem, można powszechnie słyszeć odpowiedź: „po naszymu“, przyczem zaznaczyć należy, iż mimo nieuświadomienia narodowego, mimo, iż nie wie, że jest polskim, odróżnia siebie od swych sąsiadów słowackich lub ruskich zowiąc siebie „my“ lub „Słowiaki“ (nie „Słowacy“), „Kisuczanie“, „Orawiaczy“, „Magurczanie“ i t. p. Uświadomienie narodowe należy do wyjątków. Podczas moich dwukrotnych podróży po Górnych Węgrzech zdarzyło mi się tylko na Orawie nad granicą galicyjską spotkać tamtejszego gospodarza, który na moje pytanie, jakim włada językiem, odpowiedział mi, że mówi „z polską“, „co to jest cieńsza gwara, niż słoweńska“ (słowacka). W innych wypadkach otrzymywałem zawsze na to odpowiedź: „po naszymu“, niekiedy na uwagę, iż mówią po polsku, przeczą temu. Doświadczyłem tego w Koszycach. Przybywszy tam po raz pierwszy wieczorem około godziny 11-ej, pytałem stróża nocnego o drogę do poleconego mi w drodze hotelu po niemiecku, nie wiedząc jak — on mówi językiem, na co otrzymałem odpowiedź:

„Ja po niemiecku nie rozumiem, ale miarkuję, że oni fca do hotelu Szalkasa. Ja idzem w te strone. Niech raczom iść ze mno, ta im pokażem.“

Szliśmy do hotelu razem około dziesięciu minut, rozmawiając po polsku. Nie znając wówczas stosunków miejscowych, byłem pewny, iż człowiek ten pochodzi z Galicyi. Porozumiewaliśmy się wybornie ze sobą. Tylko tu i owdzie używał mój towarzysz wyrazów jak: dluho, mierić, barz szumno, hutorić i t. d., znajdujących się w gwarze polskich górali tatrzańskich.

(d. c. n.)

G. Smólski.

# Wrażenia z wycieczki w Nowogródzkie.

1)



Z NAD ŚWITEZI.

Fot. J. Buthak.

Powiat nowogródzki położony jest na niżu północno-europejskim, w obrębie pojezierza Litewskiego, które stanowi północno-wschodnią część wyżyny Nadbałtyckiej, ciągnącej się od Danii do wyżyn Wąldaju, a zwanej także Pojezierzem.

Granicę zachodnią pojezierza Litewskiego stanowi rzeka Niemen; północną — morze Bałtyckie i Dźwina. Na wschodzie graniczy ono z Dnieprem, od strony południowej zamknięte jest niziną Poleską, czyli kotliną rzeki Prypeci.

Niż północny otrzymał, jak wiadomo, nazwę swoją tylko dzięki stosunkowo nieznacznemu wyniesieniu nad poziom morza; nie jest to jednak nizina w ścisłym znaczeniu tego słowa i nawet większą część tego pasa stanowią wyniosłości, naturalnie niewielkie w stosunku do pasa wyżyn południowych.

Na pojezierzu Litewskim przeważają właśnie miejsca wyższe, skutkiem czego uważane jest ono wogóle za wyżynę. Północna część tej wyżyny jest bardziej zbliżona ku morzu i ma charakter nieco odmienny; otrzymała ona nazwę pojezierza Żmudzkiego. Część południowa, stosunkowo dość znacznie odsunięta od morza, skupiła się w dorzeczu Niemna i utworzyła 3 grupy niewielkich, pagórkowatych wyniosłości. Najbardziej na północ leżąca grupa stanowi dział święciański; środkowa nazywa się działem wileńskim lub górami Ponarskimi; grupa południowa wreszcie, bezpośrednio granicząca z Polesiem, — to płaskowzgórze Nowogródzkie.

Chcąc zbadać pochodzenie tego obszaru, musimy cofnąć się aż do systemu trzeciorzędowego okresu neozoicznego. W tym czasie, pod koniec systemu trzeciorzędowego, zapewne w płicie,

obszar ten wylaniać się począł jako ląd stały z pośród zalewającego poprzednio cały niż północny morza.

W stosunkowo niedługim czasie po utworzeniu się tego lądu, miało miejsce jedno z najdziwniejszych zjawisk, jakie kiedykolwiek zdarzyły się na kuli ziemskiej. Zjawiskiem tem, które nie tylko zmieniło kształty powierzchni ziemi, ale wpłynęło także na warunki klimatyczne, na florę i faunę, była t. zw. epoka lodowcowa.

O istnieniu tej epoki przekonali się uczeni bardzo niedawno, gdyż przed jakimś stu laty jeszcze zupełnie się tych zjawisk nie domyślano. Ostatecznie ustaliło się mniemanie, iż pod wpływem znacznego oziębienia powstawały na górach Skandynawskich olbrzymie lodowce, które następnie własnym ciężarem zsuwały się po zboczach gór, przebywały morza i dążyły na południe. Jednocześnie podobne lodowce tworzyły się pod wpływem oziębienia klimatu i na innych górach europejskich — Alpach, Karpatach i wkrótce północny obszar Europy kontynentalnej pokryty został całkowicie lodowcami. Niektóre dochodziły do nadzwyczajnej grubości, gdyż aż do 2000 mtr. u swego źródła, płynąc więc, wywierały one znaczny ucisk na powierzchnię lądu, rozgniaty wprost pokłady ziemi, ścierały nierówności, niwelowały wzgórza, wogóle na wszystkie napotkane przeszkody oddziaływały przeważnie niszcząco. Przy rozcieraniu takim, pod wielkim ciężarem lodowca, kruszyły się pokłady skał, a powstałe wtedy odłamki ich albo gromadziły się pod spodem lodowca, tworząc morenę denną, albo też, o ile przebywał on okolice wyższe, spadały na powierzchnię, tworząc morenę powierzchniową.

W podróży swojej lodowce przechodziły różne koleje, zależnie od zmian klimatu; zatrzymywały się dłuższy czas w jednym miejscu, cofały się i powracały znowu, a na stacyach swoich pozostawiały zwykle część onych odłamków, zasypując nimi miejsca niższe, lub tworząc nowe wyniosłości.

Stopniowo jednak klimat się ocieplał. Wtedy lodowce poczęły topnieć, spływająca z nich woda tworzyła liczne rzeki i jeziora, unoszone zaś przez lodowce głązy, gliny, żwiry i piaski osiadały w miejscu topnienia lodowca, tworząc t. zw. rumowisko. W ten sposób zostały pokłady pierwotne przysypane ziemią i głazami narzutowymi, w miejscach zaś, dawniej pokrytych przez lodowce, powstał szeroki wał, dla tysiąca jezior Pojezierzem nazwany.



W ten sposób również utworzoną została owa część tego pojezierza, która nosi nazwę płaskowzgórza nowogródzkiego. Zaznaczyć tylko należy, iż według ostatnich badań pojezierze Litewskie utworzone zostało przez moreny lodowców nie Skandynawskich, lecz Lapońskich i Fińskich, albo może przez jedne i drugie.

Historia rozwoju płaskowzgórza nowogródzkiego potrzebną nam była dla wyjaśnienia kształtów jego powierzchni, oraz dla wykazania pokładów, które w skład tej powierzchni wchodzi. Przypominałam ją wreszcie z tego także względu, iż właśnie w powiecie nowogródzkim bardzo łatwo i często zaobserwować się dają dowody działalności lodowców.

Grunty pojezierza nowogródzkiego są, jako osadzone przez lodowce, przeważnie gliniaste i piaszczyste. Gliny zajmują miejsca niższe i żyzniejsze, piaski utworzyły niewielkie wyniosłości. Wogóle ziemia powiatu nowogródzkiego uważaną bywa za żyzną; przyczyną tego jest spotykana tu w dość znacznej ilości polodowcowa urodzajna ziemia—löss (żółtoziem), oraz pokłady kredy. Te ostatnie są przeważnie spotykane w niewielkich odłamek w piasku i bezładnie pomieszane z ziemią, co dowodzi, że, sunąc po nich, musiał je lodowiec niszczyć i kruszyć.

Grunty płaskowzgórza nowogródzkiego nie przedstawiają nic osobliwego pod względem swojej budowy, nie różnią się niczem od gruntów innych okolic pojezierza. Jedną z cech nieco odmiennych, bardziej rzucających się w oczy, jest występująca tu w niektórych miejscowościach po polach i drogach ogromna ilość kamieni. Na pierwszy rzut oka dziwne sprawia to wrażenie: wydaje nam się mimowoli, iż głazy te zniesione zostały z wielkim wysiłkiem ręką ludzką w jakimś niewiadomym celu. A przecież człowiek nie miał z ich nagromadzeniem nic wspólnego. Przypomniałszy

sobie historię rozwoju tego obszaru, dochodzimy do przekonania, iż mamy tu właśnie do czynienia z owymi głazami narzutowymi, pozostawionymi przez lodowiec. W niektórych miejscach kamienie te skupione są tak gęsto i tak bezładnie, jak gdyby bardzo niedawno dopiero porzucone zostały, jak gdyby od owej epoki lodowcowej nie dzieliły nas już dziesiątki wieków.

Kamienie te uniemożliwiają w wielu miejscach uprawę roli i pokrywają drogi tak gęsto, iż wyminać ich niepodobna i jedzie się jakby po bardzo złe i nierówno wybrukowanej ulicy. Stało się to także po części przyczyną, dzięki której drogi litewskie mają tak złą opinię.

Ludność miejscowa użytkowała te kamienie przy budowie kolei Poleskiej.

Większe głazy spotykają się przeważnie we wnętrzu ziemi, skąd bywają wypłukane przez deszcze. Nieraz daje się na nich doskonale zauważyć działanie lodowca: są przezeń oszlifowane—wygładzone, porysowane, lub wprost jakby przepiłowane.

Jednym z największych głazów w powiecie nowogródzkim jest historyczny „kamień Filaretów” w Tuhanowiczach, miejscu zamieszkania ukochanej przez Mickiewicza Maryli Wereszczakówny. Kamień otrzymał nazwę swoją z tego powodu, iż często w miejscu, gdzie on

leży, gromadzili się przyjaciele Mickiewicza, — Filareci — Zan, Czeczot i Domejko. Jest to typowy okaz polodowcowy, z gruboziarnistego granitu.

Oprócz powyżej wymienionych gruntów, wyrażną pozostałością epoki lodowcowej są pokłady żwiru, spotykane przeważnie na wyniosłościach.

Badając kształty powierzchni powiatu nowogródzkiego, widzimy, iż nie jest on ani znaczną, ani też bardzo urozmaiconą wyżyną i dlatego też płaskowzgórzem jedynie nazwany być może. Najwyższa wysokość wznosi się do 340 metr. nad



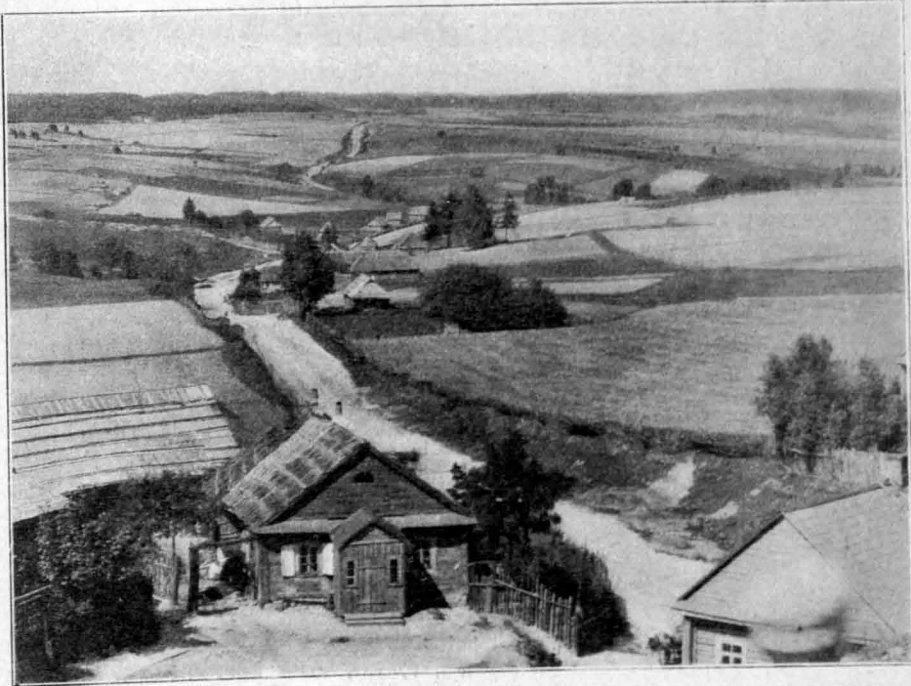
LAS NA BIAŁEJ RUSI.

Fot. J. Bułhak.



p. m. Jedynym większym urozmaicheniem kształtów powierzchni jest pasmo wzgórz, ciągnące się w poprzek powiatu od gór Ponarskich aż do Baranowicz Poleskich. Wzgórza te są przeważnie budowy piaszczystej, przez co ulegają łatwo działaniu wiatrów. A jednak nie można powiedzieć, aby linie tego płaskowzgórza jednostajne były i proste. Falują one wszędzie prawie, bardzo łagodnie, ale ustawicznie. To też, jeżeli chcemy scharakteryzować kształty powierzchni ziemi nowogródzkiej, nie znajdziemy trafniejszego określenia, nad mickiewiczowskie: „Ziemia pagórków leśnych”—w tych słowach zawiera się wszystko. W którąkolwiek stronę skierujemy oczy, wszędzie ujrzymy owe niewielkie, zrzadka lasem porośłe pagórki, między którymi roztwierają się piękne, niekiedy nawet dość rozległe widoki. Nadaje to wielki urok krajobrazowi. Znużeni smutną jednostajnością naszych równin mazowieckich nie możemy wprost nasycić oczu nieopisaną malowniczością okolic nowogródka.

U stóp zaś tych pagórków leśnych, pośród łąk zielonych wiją się w gęstych zaroślach olszyny srebrzyste strumienie i szemrzące po kamieniach źródelka. Większych rzek żadnych nie posiada



Z OKOLIC NOWOGRÓDKA.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

powiat nowogródzki, owych mniejszych strumyków, zwanych tu ogólnie krynicami, znajduje się jednak olbrzymia ilość, co bardzo podnosi estetyczną wartość krajobrazu. Może zresztą dlatego krajobraz ten ma dla nas taki urok; może dlatego źródelka te tak nam się podobają, iż z mianem Litwy związane są nazwiska dwu naszych największych poetów, iż spotykamy się tu na każdym kroku ze wspomnieniami.

Na Litwie w powiecie nowogródzkim upłynęło dzieciństwo „sielskie, anielskie” autora „Pana Tadeusza”. Do owych strumieni litewskich tęsknił Słowacki nawet w czasie urozmaiconej podróży na Wschód z Neapolu, gdy

— „Sen mu pokazał aż w Litwie niebieską  
Niezabudkami rzeczulkę. Miejsce, kładkową  
[przeskoczono deską,  
Zawsze błękitne i zawsze w spokoju,  
Dokola w kalin ustrojone wianki”.

I tęsknił poeta do chwil młodości i wspominał je z żalem i

„Chciałby cały włosem się osłonić  
Nad dawną książką—i dawne łzy ronić,  
I być zbudzonym, jak dawniej, nad rzeką,  
Gdy na aleję złote słońce padło,  
Kiedy słyszany jakiś głos daleko  
Wolał jak echo”.

Dla obu tych poetów wreszcie ze wspomnieniem Litwy wiąże się wspomnienie pierwszej ich miłości.



JEZIORO ŚWITEŻ.

Fot. J. Bartha.

Chwilowo jednak porzucić należy owe zajmujące wspomnienia i powrócić w dalszym ciągu do opisów ziemi nowogrodzkiej.

Ażeby scharakteryzować warunki klimatyczne płaskowzgórza nowogrodzkiego, musimy je porównać z Warszawą. I tu duża dosyć różnica rzuci się nam w oczy. Pomimo bowiem niewielkiego stosunkowo posunięcia na północ, jest klimat powiatu nowogrodzkiego znacznie od naszego ostrzejszy. Jedynym miesiącem letnim, względnie upalnym, jest lipiec, sierpień bowiem zalicza się już do jesieni. Zimą mrozy bywają silne i długotrwałe. Badając przebieg izoterm widzimy, iż średnia temperatura zimowa niższą tam jest o 2 stopnie od warszawskiej, klimat jest za to nieco suchszy od naszego.

W związku z tą różnicą klimatyczną jest także różnica w czasie dojrzewania różnych roślin. Różnica ta jest b. znaczna, wynosi bowiem, w stosunku do okolic Warszawy, około dwóch tygodni, lub nawet więcej jeszcze. Dosyć powiedzieć, iż w lecie 1909 r. obchodzono w niektórych okolicach powiatu dożynki w ostatnich dniach sierpnia. Często wtedy, kiedy u nas już kwitną drzewa owocowe,

tu jeszcze śniegi leżą, liście ukazują się w maju, bzy i jaśminy kwitną w końcu czerwca i t. d.

Flora i fauna powiatu nowogrodzkiego nie posiadają żadnych cech charakterystycznych, nie różnią się niczem od flory i fauny innych obszarów Europy środkowej. Jedynie w okolicach jezior spotykamy okazy roślin rzadszych i ciekawszych, jedynie lasy tutejsze przedstawiają pewną osobliwość: są w nich bezładnie pomieszane wszystkie prawie gatunki naszych drzew liściastych: dęby, brzozy, olchy, graby, jesiony i topole, czym przypominają one lasy pierwotne. Z drzew iglastych, prócz częstej bardzo sosny, spotkać można w Nowogrodzkiem modrzew oraz świerk, szczególnie zaś to ostatnie.

To piękne, wytworne i smutne drzewo stanowi charakterystyczną cechę lasów litewskich i nadaje im niezwykle, pełen głębokiego smutku urok. Jest w nich jakaś wielka powaga i spokój, majestat nieledwie. I nie nęcą te wielkie, ciemne i ponure lasy wesołym świergotem ptaków, ani gwarem owadów, ani weselną białością pni brzozowych.

(d. c. n.)

*Janina Rodysówna.*



**Juliusz Huret.**

## Na wybrzeżach Bałtyku.

W interesującej pracy francuskiego pisarza, którą streszczaliśmy w Ziemi („W obozie nieprzyjaciół“) znajdują się rozdziały, poświęcone okolicom czysto polskim lub z Polską ściśle związanym. Opuszczając powierzchowne i przez to niekiedy fałszywe wrażenia poznańskie, podajemy natomiast opisy, tyżące się Gdańska i Królewca w dosłownem tłumaczeniu, z opuszczeniem jedynie — niewielkich zresztą — ustępów, zbyt specjalnie dla francuskiego czytelnika przeznaczonych. Przy trafnem i wiernem naogół ujęciu rzeczy, zdarzają się w oryginale szczegóły, czasem niedość dokładnie przedstawiające stan rzeczy, a niekiedy wręcz mylne. Nie naruszając tekstu, uważaliśmy za konieczne sprostować je w przypiskach tłumacza.

### **W Gdańsku.**

Przybywszy w ładny letni wieczór do Gdańska, objechałem natychmiast miasto dorożką. Gdyby nie elektryczność, możnaby myśleć, że się jest w mieście średniowiecznem. Takiego wrużeaia

rzeczy minionych niema się nawet w Norymberdze. W wązkich ulicach pełno domów z attykami, uwieńczonemi posągami, i z fasadami, ściśniętymi do szerokości dwóch lub trzech okien na każdym piętrze. Ciężkie bramy, pod któremi przejeżdżamy, wraz ze wznoszącemi się obok blankowanymi wieżami, wyglądają po nocy bez mała groźnie. Za dnia wrażenie to ulega pewnej zmianie, a patrząc na wielkie i jasne okna wystawowe sklepów, dostrzega się, że wiele z tych domów jest nowych. Ale dla zachowania harmonii w niektórych dzielnicach naśladuje się dawne budownictwo. Wczoraj budowane banki mają wygląd katedr lub twierdz, a nowowystawiane gmachy szkolne są bardzo pięknymi zamkami w stylu odrodzenia.

I dlatego miasto może być zaliczone do najładniejszych miast w Niemczech, jak również do najbardziej ciekawych dla miłośników dawnej sztuki i wspomnień dziejowych. Kolejno podległy rządowi Krzyżackim, później wolne miasto hanzeatyckie, przez trzy wieki pozostający w rękę pol-

skiem, oddany w 1793 r. Prusom, zajęty w 1807 r. przez Francuzów i ostatecznie przyznany królowi pruskiemu traktatem wiedeńskim w 1814<sup>1)</sup> — Gdańsk zachował z tych zmiennych kolei losu niezliczone wspomnienia. Obecny dom jeneralnego konsulatu rosyjskiego zamieszkiwany był niegdyś przez Piotra Wielkiego, który przed wyjazdem do Haarlemu uczył się tu sztuki budowania okrętów. Jak na okrętowego cieślę piękny to dom! Pokazują też mur, przez który skakał, ścigany przez żołdactwo i przebrany za majtka, król Stanisław Leszczyński, żeby się schronić na przyslaną mu przez Fleurego, ministra, późniejszego zięcia Ludwika XV, fregatę francuską. Od 1894<sup>2)</sup> został Gdańsk miastem głównym Prus zachodnich i to ustoleczeniście było punktem wyjścia dla nowego rozwoju miasta. Powstały nowe dzielnice, przekraczające już granice dawnego miasta, o architekturze zharmonizowanej z budownictwem czasów ubiegłych, a wielkie budowle — banki, dworzec, rezydencje dygnitarzy, nowoczesne magazyny, wspaniałe wille — świadczą o rozkwicie nowej stolicy.

Ala przeszłość odczuwać można przedewszystkiem w starej dzielnicy miasta, wzdłuż Długiej ulicy i Długiego rynku<sup>3)</sup>, na wybrzeżach Motławy, w wązkich uliczkach, wypełnionych starymi domami. Tam stoi Artushof, dzisiaj giełda handlowa<sup>4)</sup>. Wielka, oparta na potężnych słupach sala, w której zbierają się kupcy i właściciele okrętów, upiększona jest ściennymi malowidłami i wystającymi tu i owdzie łbami jeleni o potężnych rogach, zbrojami, pikami i sztandarami. Od sklepienia zwieszają się modele zbrojnych statków i fregat, a pięknie inkrustowane boazerie dopełniają całości. W kącie wspaniały, wysoki kilka metrów piec kaflowy z postaciami sławnych tu niegdyś osobistości. To są rzeczy poprostu bez ceny. Nad jakimś odrzwiami czyta się: „1807 r. o 4-ej rano 2 kwietnia uderzył tu granat francuski“. Posąg Augusta III, tego samego, o którym mówiono: „Kiedy August pił, Polska była pijana“, przygląda się rzędom stołów z porostawianymi na nich drewnianymi miseczkami, zawierającymi próbki ze zbożem, gdyż, jak cztery czy pięć wieków temu, i dzisiaj Gdańsk oddaje się przeważnie tym samym tranzakcyom.

Przez czas długi był składem Polski dla handlu zbożem i drzewem, a były to czasy, kiedy wyższy od Hamburga i Bremy, rozbijał flotylle angielskie. Dziś znaczenie jego zmniejszyło się

znacznie i nietrudno jest usłyszeć narzekania na system protekcyjny, utrudniający wstęp rosyjskiemu zbożu, czyli towarowi, którym handel był dawniej bezmała monopolem Gdańska.<sup>1)</sup>

Wzdłuż Langestrasse, najbardziej ożywionej ulicy miasta — po którejśmy nocne nie mają prawa przechadzać się po zachodzie słońca — wysokie i wąskie kamienice rzeźbią na tle szarego nieba swoje attyki, ozdobione posągami i obeliskami, a w głębi, ponad dachy, pną się 80 metrowa iglica wieży ratusza, całego z czerwonych cegieł, zakończona złożonym posągiem.<sup>2)</sup> Zwiedzanie ratusza poleca się szczególnie miłośnikom snycerszczyzny, którzy tam znaleźć mogą przepięknie rzeźbione plafony i ozdoby ścienne, oraz wspaniałe schody z XVII wieku. Z tyłu, równoległe do głównej ulicy, małe uliczki, Jopengasse, Frauengasse, z doskonale zachowanym wyrazem. U stóp każdego domu mały, tarasowaty występ, na który wchodzi się po siedmio albo ośmiostopniowych schodach. Wszystkie te uliczki kończą się na wybrzeżach Motławy. Niegdyś, każdego dnia, po otrąbieniu wieczornej godziny, zamykano je na noc bramami, nad którymi wznoszą się wieżyczki; bramy te istnieją do dziś dnia, lecz nie są już zamykane. Ciemne ich sylwetki rzucają posępny cień na rzekę, której przeciwległy brzeg zabudowany jest wielkimi śpichrzami dawnych magnatów polskich (?). Wysokie na 5 lub 6 pięter, podziurawione aż pod same śpiczaste dachy małymi, regularnymi otworami, które są oknami, ale które wyglądają, jak otwarte oczy bez powiek, sterczą one pod rząd, czerniąc się łamanym od góry profilem i przybierając zwłaszcza pod wieczór jakiś fantastyczny zewnętrznie wygląd. Dawniej cała ta dzielnica zajęta była przez Polaków, których nazwiska pozostały na ścianach domów. Znaczna ich część wsiąknęła w niemieczynę, za wyjątkiem jakichś 10 do 12 tysięcy rodzin opornych (?), prawie bez wyjątku żarliwych katolików. Tuż obok kościoła N. M. Panny mieści się w wązkiej uliczce kaplica dawnych królów polskich. W niedzielę tłum, zbyt licznie zgromadzony, wylewa się na zewnątrz i kłęczy na ulicy, a śpiewy polskie łączą się z niemieckimi, które rozbrzmiewają w sąsiedniej Marienkirche, wspaniałej ceglanej budowli, dominującej nad miastem swoją wielką wieżą i tuzinem pomniejszych wieżyczek.

Okupacja francuska pozostawiła tu ślady straszliwe. Do dziś dnia nie zapomniane są bomby marszałka Lefebvre i jego kontrybucje wojenne. W renesansowym klejnociku, arsenale, pokazują 36

<sup>1)</sup> z d. 3 maja 1815 r.

<sup>2)</sup> od 1878.

<sup>3)</sup> Langegasse i Langemarkt — główna arterya Gdańska.

<sup>4)</sup> zbożowa.

<sup>1)</sup> Oczywiście pomieszanie terminów i nieściśłość wyrażen; zbożem rosyjskiem Hamburg nie handlował nigdy.

<sup>2)</sup> Zygmunta Augusta.



granatów francuskich, które do trzech czwartych tkwią w murze fasady; inne znaleźć można na Jopengasse, jeszcze inne w Artushofie—wszystkie przechowywane z czcią religijną. Stąd może płynnie zrozumiała do pewnego stopnia niechęć do Francji, niechęć mocniejsza, niż w innych częściach Niemiec. Przed okupacją francuską miasto było w stanie kwitnącym; podbój zniszczył je doszczętnie.<sup>1)</sup> Indemnizacja wojenna, nie wiem już ile milionów wynosząca, ciążyła mieszkańcom miasta blisko sto lat i jeszcze przed niewieloma laty finanse miejskie odczuwały jej skutki! To też przed bardzo niedawnym czasem podczas święta strzeleckiego, które trwało przez miesiąc, młodzi ludzie z wielokrotnym nawrotem odtwarzali wojnę między Francją i Niemcami. Powtarzano epizody z wojny 1870 r., w których naturalnie Francuzi bywali stale bijani.

Jedyną, choć kosztowną, pamiątką po naszym pobycie tutaj zostało piękne miejsce spacerowe, 2400 metrów długa aleja, Grosse Allee, którą wytknął zdaje się w 1808 r. jen. Rapp, obsadzając ją po bokach wspaniałymi już dzisiaj wierzchołkami. Droga ta prowadzi do sąsiedniego przedmieścia Langfuhr, prawdziwego miasta o 56000 mieszkańców, zupełnie nowego i doskonale położonego u stóp obszernych lasów. Wspaniałe, okryte zielenią, wille zamieszkałe są przez gdańskich milionerów, handlarzy cukrem, drzewem lub zbożem, samych tajnych albo handlowych radców. Skromniejsze lecz miłe domki ciągną się wzdłuż ulic, wysadzonych akacyami i zamkniętych przez las, doskonale wytknięty i pełen wyciętych umyślnie dla spacerującej publiczności widoków na Wisłę i na Bałtyk.

(d. n.)

tłum. St. Th.



## GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

### III.

Lud polski, który przed gnębiącą go w domu biedą ucieka do najbardziej odległych zakątków świata, nie zdobył się jeszcze dotychczas na odanie w formie poetyckiej swoich przygód, ciężkich walk, jakie musi staczać niekiedy, zwycięstw i klęsk, jakie mu przypadają w udziale. Bądź dlatego, że zalewająca go fala wypadków i wrażeń odcina się nazbyt jaskrawo od tych prawiecznych form bytowania, jakie go otaczały na rodzinnym zagonie, bądź, że ma duszę na razie zanadto zmąconą, że trzeba czasu, aby na dnie jej osadziły się czyste i piękne kryształki uczuć, dziś w rozdrobnieniu wirujących — chłop pracuje, cierpi i milczy.

Ci, którzy, mieszkając zdaleka od kraju, na wielkich szlakach i w pobliżu wielkich punktów przechodnich, mieli niejednokrotnie sposobność opiekowania się znędniałą rzeszą powracających do domu wychodźców, stwierdzają dość jednogłośnie, że w przerażonym umyśle „chodzika“ snują się conajwyżej jakieś straszne obrazy przecierpia-

nych chwil, jakiś żal rzuconych na marne wysiłków,—lecz nic więcej. Tej nici śmiertelnej tęsknoty za krajem, nici, która omotała i wżera się w każde żywienie, a nawet i mniej żywo bijące serce, tutaj nie widać, albo też była ona tak cienka, że pękła odrazu i zniknęła bez śladu.

Ale czy niema tu czasem omyłki?

Czy nie cierpi ten, który milczy, a milczy, bo mówić nie umie. Ktoby miał wątpliwości, niech mu utkwí w pamięci „Srul z Lubartowa“.

Za ten lud cichy, biedny i niemy, przemówiła teraz jedna z największych poetek świata, serce i głos współczesnej literatury polskiej—Marya Konopnicka.<sup>1)</sup> Nie dlatego, że jej mowa jest cudnie cyzelowaną gwarą ludową, a bohaterami sześciopieśniowego poematu są wyłącznie chłopcy.

Nie, oczywiście nie. Ale jak w nadewszystko miłujące objęcia matczyne, wzięta poetka całą nędkę i ból, wszystkie gorzko krwawiące rany tej rzeszy bezdomnych tułaczy i wyraziła je tak mocno i tak głęboko, że ani już oni sami, choćby im rozwiązany był język, mogliby do tego coś dodać. I powstała stąd pieśń przesmutna i przemocna zarazem.

<sup>1)</sup> Nieściśle historycznie; upadek Gdańska zaczął się wraz z upadkiem zbożowego handlu polskiego, a dopomagał mu z żarliwą zacieklnością Fryderyk II; resztę dokonała blokada kontynentalna.

<sup>1)</sup> Pan Balcer w Brazylii. — Warszawa. 1910. Gebethner i Wolff in 4<sup>o</sup> str. 396.



Są całe ustępy, w których odczucie cudzego bólu ma namiętność żywiołu, całe strofy pisane krwią tak gorącą i tak serdeczną, że, zda się, przeży się w nich, drga i skręca każdy wiersz, każde słowo, każda litera. To nie jest cudowny spokój, złoty sen o młodości śniącego „Pana Tadeusza“, ani tembardziej bosko zrównoważona i bosko marmurwaharmonia „Odyssei“. Ale kto o to spierać się będzie, skoro zaraz od pierwszych kart owieje go atmosfera rzeczy nieskończenie wielkich, choć tak powszednio małych, skoro będzie mu tak, jak żeby słyszał mocny szum skrzydeł ptaka wielkiego lotu.

Uchyloną została nieco wyżej w ten sposób gruba, ukrywająca nam duszę ludu zasłona, tego ludu, o którym tak chętnie lubimy rozprawiać, na który tak chętnie lubimy liczyć, a który znamy tak mało. I to nie „ludu“ w jakimś abstrakcyjnym, schematycznym pojęciu, ale w szeregu żywych, lśniących plastyką i barwą postaci. Dlatego, gdyby nawet nie było to dzieło o tak szczerze natchnionej i przedziwnie kunsztownej formie — już niemniej przeto byłoby źródłem niewyczerpanej rozkoszy dla estety i nieprzebraną kopalnią dla ludoznawcy. Boć ludoznawstwem nie jest tylko kolekcjonowanie starych kapot i łapci, ani zbieranie pieśni i gadek, ani nawet układanie w system i całość ujętych opisów etnograficznych, ale także odtwarzanie z rozprysniętych okruszków wielkiej duszy zbiorowej. A więc niekiedy dać nam może twórcza, błyskawicami myśląca, intuicja artysty, aniżeli mozolny i ciężki krok szperacza. Być może przemoc, jaką nad naszymi duszami ma geniusz, każe nam patrzeć na rzeczy pod kątem nazbyt subiektywnym; co nam wadzi, skoro ten kąt jest wielkim?

Treść jest prosta, prawie uboga. Na niemiec. kim statku „z Bremenu“ jedzie jakieś trzy czy cztery tysiące chłopów, z babami, z dziećmi, nawet u piersi, z siwymi, jak gołębie, starcami, jadą szukać za morzem lepszej doli. Jest tam



SZLACHCIC, ZAŚCIANKOWY  
Z MIŃSZCZYNY.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

„kraj cały“ — Kurpie, Mazury, Łomżyńce, Płocczany; z nimi Pan Balcer — kowal z Łukowa. Jednym roi się leżące na ziemi złoto, innym grunt, co jest — „godny, czysta glina, choć na chleb smaruj“. Na boku, milczkiem nieduża gromadka narodu, do której Panu Balcerowi serce odrazu przylgnęło:

„Lud ci podlaski jest!  
[Oneć uniaty

.....  
Czuj duch! Trzymają na  
[tęgiej utroczy  
Język. Słów mało, a mo-  
[wa niedługa:  
Skąd?.. Poco?.. — Duszę  
[ratować. Z nad Buga. —

Tym, przed gorejącymi jakimś dziwnym wewnętrznym ogniem

oczyrna snuje się na jawie coś nad złoto i nad grunt lepszego:

..... „Słychać, kardynał ma z krzyżem  
Przymować naród na tamtym ta brzegu...  
..... -- Papież dał pismo spisować,  
Co nasi księża chrzcić będą i chować“.

Słowem istotnie świat cały, świat pełen poziomych pożądań i szczytnych porywów, lud, który dawną swoją, wiekami wyrabianą i do pewnego stopnia doskonałą mądrość zawiązał, jak łańcuch niepotrzebny w węzełek, a tu, na obcym, wrogim mu gruncie, tuła się i płacze bezradnie, jak dziecko prosty i jak dziecko naiwny. Stąd pierwsze, moralne tylko, ale bezlitosne zderzenie się z twardą rzeczywistością: wylądowanie.

„— Kardynał! — krzyknął. Aż z nagłą otoczy  
Nas zewsząd wojsko. Lud patrzy zdumiały,  
Dzieci w płacz. Baby wrzasły chórem: — Rety!  
Oficer krzyknął: — Marsz! — Błysły bagnety“.

I pogнали ich w przeklęty „dcm emigrancki“, gdzie długie, śmiertelnie długie dni trzeba było czekać na przyjazd komisji, rozdającej grunt i gdzie tymczasem żarły ich i dziesiątkowały: nuda, niepokój, pijaństwo i febra. A gdy poszli nareszcie w bór, kiedy rzucili się na niego z głodnym zapamiętaniem wilków — nastąpiła czarna godzina.



Bo bór był mocniejszy. Nic to, że biją chłopcy od najwcześniejszego ranka do późnej nocy, że „tam z toporem razem biła dusza“, że nikt nie ma zmiłowania nad sobą — bór stoi. Aż upadła w nich dusza. Dusza ich spieka, potem przyszła zgnila pora deszczowa, wypelzły kąśliwe gady, trzęsła febra, dzicy mordowali im dzieci. A jak woda, która wzbiera od stóp aż po usta, zalewać ich zaczęła tęsknota.

*„Hej ziemio, ziemio, że my się też ciebie  
Puścili! Miedz twych, i twójgo płota!“*

Słyszeli, że gdzieś obok — może tuż za miedzą, może za dziesiątymi górami — osiadł zdawna lud polski, że „karczma tam jest, kościół i organy“, więc jak zjawy stawać im w oczach zaczęły obrazy dawnego życia.

*„— Coś słyhać jakby! — Coś jakby w tej stronie! —  
A drudzy oczy wyteżą i uszy...  
Lecz tylko pustka podzwania w tej głuszy.“*

I kiedy spaliła na panewce przednia, ale niewykonalna myśl, wybrać co najcięższe głowy

*„I do angielskiej niech idą królowy,  
Że katolicci lud tu jest krzywdzony!  
I że tu naród na pomoc ją woła!“*

Kiedy obwiesił się na niedociętem drzewie Przykuła, i zwłaszcza, kiedy narzucić im chciano szarwarki, buchnęło, jak z zerwanych stawideł: — Wracać! I poszli. Bez żywności, bez dróg, bez języka poszli wprost ku wschodowi, ku morzu, kierowani instynktem rannego zwierzęcia, które chce skonać u siebie. Poszli w twardą, krzyżową drogą przez ciemne, ponure puszcze, przez spalone słońca pożarem stepy, przez zdrajne trzęsawiska i przez zwały gór, które trza było brać, jak fortece. Ciągnęła ich tęsknota, gnała nędza, u boku szła śmierć. Jak się kruszy i sypie ziarno z dośtałego snopa, kiedy go włóczyć po grudzie, sypał się z nich trup tak gęsty, że jeno garstka doszła do morza.

A jest w tej powrotnej drodze jedna scena, pozornie mniej barwna i mocna, która wraca przecie potem i przypomina się uporczywie, jak symbol, która pali, jak skoncentrowane do kilku kropel morze zawodu i bólu. Oto klęka na gołej ziemi z odkrytą głową Piotr Bugaj i grzmotnąwszy się w piersi, bierze w garść szczyptę czerwieniącej się w łunach zachodu ziemi, i wznosi ją ku niebu:

*„...Ty cudza ziemio! Aboś ty jest Boża,  
A my się, grzeszni, na twym struli chlebie,*

*Albo my—prawi, a tyś jest czortoska...  
Niechże nas teraz rozsądzi moc boska!..*

*Ścisnął... Przez palce krew zdała się kapac“.*

Za to nad morzem znaleźli swojaków. Było ich tam z pół setki z pod Inowrocławia, były wozy w półkoszki, „chłopy w lejebikach nędznych, w chustach baby“, był ład i bogactwo, jakie Pan Balcer chyba u brata-księdza widywał, co siedzi w samiuśkim Krakowie, a zwie się Balcerski. Tylko, kiedy mu gospodarz te bogactwa nad Polskę zaczął wychwalać, kiedy dzieci z polska po brazylijsku zagadały, zmarszczył się, krzywo spojrzął Pan Balcer. On już inny jest człowiek. I czy to się zaczęło jeszcze tam, skąd duszę uciekał ratować, czy w boru, w strasznych chwilach zmagania się z nim i w obłędnych momentach żalu, co dusił za gardło, — jemu w inny rytm tętni krew w żyłach. I kiedy w ostatniej pieśni zacznie nam ten kowal z Łukowa wykladać, co to jest Polska, to się czuje i widzi, że to nie „chłop“, nie „cham“, jeno taki, co ma tyleż w sobie fantazyi i serca, jak i ci, co brali szańce. To już brat.

*„Ziemio ty nasza! Cóż nam się ostało,  
Jeno ty sama i twe miłowanie!*

*Wyszedłem z ciebie, stoję się tachmanem...  
Że pyta lada kiep:—Gdzie ziemia twoja?*

*Nie dbaj, tba podnieś, bo cię też do smutku  
Nikto nie zwięże! Zdzierz górnie psubrata,  
Rzekąc:—A gdzieżby? W samym środku świata!  
Chcesz wierzej! Nie chcesz? Wolna przed się droga!  
Gdzieżeś ją mniemał być? Kędyś na stronie?  
Na szarym końcu? Za piecem? U proga?*

*My, Polska, zawsze stalım bliżej Boga...*

To pewna, że od czasów wielkich romantyków mało serc biło u nas tak tęgo i górnio, jak temu chłopu z nad Buga, kiedy w nie koścista ręka losu zaczęła kołatać.

A język? To już jest rzecz właściwej krytyki literackiej. Przestańmy na tem, że liczne jeszcze pokolenia uczyć się na nim będą i pieścić się z nim i korzystać przed jego świeżością i mocą. Czasem jest, jakby kto marmur zapamiętałym zamachem ciosał, czasem, jak gdyby ten sam marmur płatkami kwiatu wygładzał.

Czy są na tem słońcu plamy? Być może. Bez nich słońce nie byłoby — słońcem.

*Boruta.*



## Nowe książki.

L. W.—*Niektóre wiadomości o Gdańsku i Sopotach i kwestya Kaszubska—Gdańsk. 1909. Nakładem Tow. Ludowego w Sopotach. (Czysty dochód przeznaczony na naukę języka polskiego dla kaszubskich dzieci). Str. 82. Mk. 1.—*

Poza opisem niektórych polskich pamiątek Gdańska i jego okolic, broszurka zawiera szczupłe, lecz niezmiernie ciekawe dane o samoobronie kaszubskiej, rozpoczętej w ostatnich latach, a opartej, jak słusznie autor zaznacza, „na bardzo zdrowej podstawie, bo na ściśle kupieckiej kalkulacji” (str. 65). Trudno oprzeć się chęci zacytowania w najpobieżniejszej bodaj wzmiance faktu że założony przed 5 laty w Wejherowie dom towarowy dla handlu bławatnego „Kupiec” osiągnął już zamiast pierwotnych 27.000 marek przeszło stu-tysięczny kapitał udziałowy, a dwóm spółkom pożyczkowym—w Wejherowie i Pucku — powierzono w ciągu niespełna 3-ch lat przeszło pół miliona depozytów. Hasło bojkotu nadbrzeża bałtyckiego przyjmuje autor niechętnie, zaznaczając z goryczą, że rozległo się ono u nas najgłośniej właśnie wówczas, kiedy po raz pierwszy żywił polski w Sopotach zyskał przy wyborach do sejmu pruskiego 18 nowych wyborców. Ten też rozdział, jak zresztą cała książeczka, zasługuje nietylko na uważne przeczytanie, ale i na bardzo poważne rozważenie.

S. T-t.

□□□□□□□□□□

## Z piśmiennictwa.

+ W piśmiennictwach obcych, niemieckiem i rosyjskiem, panuje od dłuższego czasu żywy ruch na niwie krajoznawstwa prowincyi o ludności mieszanej, należących niegdyś do Polski. Obok prac i wydawnictw geograficznych, statystycznych i in., niemało uwagi i miejsca poświęcono w piśmiennictwach tych na systematyczne badania nad dziejami owych prowincyi o ludności mieszanej. W Poznaniu np. wychodzi od lat dziesięciu wydawnictwo *Historische Monatsblätter für die Provinz Posen*. Wydany obecnie zeszyt pierwszy rocznika XI-go zawiera najpierw artykuł Th. Wotschke'go p. t. „Der Posener Kirchenpfleger Georg Hartlieb”. Mowa tu o Hartliebie, który mieszkał w Poznaniu około r. 1660 i popierał dążności gminy luterskiej w Poznaniu. Drugi artykuł p. t. „Eine polnische Vereinsgründung in Posen 1841”, napisany przez M. Lauberta, dotyczy założenia w r. 1841 w Poznaniu towarzystwa filantropijnego, w którym wzięli udział Karol Marcinkowski, Kramarkiewicz, Pawłowski, Kolanowski i in. Celem towarzystwa było zbieranie w mieście i na prowincyi odpadków (kości), spieniężanie ich i wspieranie za nie ubogich. Towarzystwo rozwiązało się już w r. 1843. Rzecz drobna wprawdzie, ale ciekawa dla historii naszych towarzystw.

+ Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazały się świeżo dwa obszerne tomy, zawierające zbiory studyów i przyczynków historycznych prof. Szymona

Askenazego. Pierwszy z tych tomów, zatytułowany: *Dwa stulecia XVIII i XIX. Część druga*, — zawiera następujące badania i przyczynki: Do charakterystyki Augusta II, Komedia berlińska, Sprawa Tarty, Pamięnik prymasa, Ministerium Wielhorskiego, Pożegnanie stulecia, Trybun gminu, Pierwszy syonista polski i Dózor konsulański. Druga z tych książek nosi tytuł: *Nowe Wczasy i zawiera treść następującą: Przegląd doby saskiej, Przegląd doby porozbiorowej, Polska a wojna siedmioletnia, Poselstwa hiszpańskie, Biskup Sołtyk, Dworactwo pośmiertne, Alopeus, Generał Fiszer, Wojsko Warszawskie, Pamiętniki Brandta, Pierwsza politechnika polska, Rozmowy w Belwederze, Na marginesie Kordyana, Galicya a Węgry, Senat Rewolucyjny, Ludwik Boerne, Bratanek Napoleona i Pamiętniki Hohenlohego. Obie książki zaopatrzone są w bogate przypisy oraz w indeks. Ukazanie się tych dwóch nowych zbiorów badań i przyczynków prof. Askenazego przyjęte będzie niezawodnie z żywym zadowoleniem przez wszystkich miłośników naszej przeszłości.*

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

+ W Warszawie powstanie wkrótce nowe muzeum pamiątek naszej przeszłości. Znany poeta i pieśniarz starej Warszawy, Artur Oppman (Or-Oł), nabył w tych dniach od sukcesorów ś. p. Ignacego Badowskiego nieruchomości przy ul. Kanonji Nr. 8. Dom ten był niegdyś własnością Staszica, który przed wzniesieniem specjalnego gmachu na Krakowskim Przedmieściu, tutaj lokował Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Pamiątkową salę, w której odbywały się zebrania Towarzystwa w ciągu pierwszych kilkunastu lat jego istnienia, przerobiono z czasem na mieszkania, nowy jednak właściciel, jak się dowiadujemy, zamierza przywrócić jej wygląd pierwotny i umieścić w niej swe cenne zbiory.

Zbiory te, kompletowane z zapalem i znajomością rzeczy już od ćwierć wieku, dotyczą zarówno historii Warszawy, jak i nowszych dziejów Polski, od chwili upadku Rzeczypospolitej. Są tu obrazy, portrety, miniatury, meble, mundury, pamiątki, ogółem w liczbie blisko tysiąca numerów. Zbiory te będą teraz uporządkowane i udostępnione dla wszystkich miłośników naszej przeszłości.

◆ ◆ ◆

+ Kolonizacya rosyjska na Litwie odbywa się w ostatnich czasach w tempie przyspieszonym. Świeżo w gub. wileńskiej nabyte zostały przez Bank Włościański cztery majątki w pow. dzisieńskim: Zawadkowszczyzna, Kolesniki, Sporuny i Mazurkowszczyzna: pierwsze dwa od p. Szczegłowitowa, drugie dwa od obywatela ziemskiego Wołosowskiego. Zawadkowszczyzna i Kolesniki liczą razem 318 dziesięcin ziemi, Sporuny—103 dzies., Mazurkowszczyzna zaś 121 dzies. Majątki te były dawniej wydzierżawiane Polakom. Bank Włościański rozparcelował je na 30 kolonii i sprzedał staroobrzędowcom, pomimo, iż dzierżawcy dotychczasowi chcieli grunta odkupić.

— Jeden z korespondentów „Gońca Wileńskiego“ nadesłał pismu temu ciekawe wiadomości o życiu mieszkańców okolicy miasteczka Rudnik w powiecie trockim:

„Miasteczko nasze ma drewniany kościółek i leży na trakcie z Wilna do Ejszyszek, w odległości 28 wiorst od Wilna, w tak zwanej Królewskiej puszczy (teraz Rudnickiej dacz), znanej z dawnych czasów i dzięki wielkim obszarom hodującej po dziś dzień łosie i dziki. Nikt nie bywa tutaj, oprócz myśliwych wileńskiego towarzystwa myśliwskiego. Ludność, zamieszkująca m. Rudniki, należy co do swych obyczajów chyba do przedpotopowej, naprzykład: kobiety, po wyjściu zamąż, gdy rozpoczynają pierwszy chleb na nowej gospodarce, obliplych rąk następnie wcale nie zmywają, a to z powodu jedynie tego, ażeby wiodło im się w urodzajach i gospodarce. Niemal połowa kobiet zajmuje się „zamawianiem“ i odbieraniem mleka od krów na św. Jana, zbierając po łąkach rosę z trawy i kwiatów, potem zaś okraża cudze chlewy, przez co też mleko ma ubywać. Tymczasem, istotną przyczyną zarywania krów w danym wypadku jest nic więcej, jak brak paszy oraz niedokarmianie ich również niczem w domu.

Do chat nie sposób wejść z powodu zaduchu i brudów; nigdy nie wymiatane, śmiecie w nich spychane bywają pod ławy, stoły i łóżka, po kątach stoją cieleta, owce i świny... Z chorób panuje przeważnie t. zw. „poruszenie“, zarówno u kobiet i dziewcząt jak i mężczyzn, co miałyby oznaczać: tyfus, ospę, zapalenie płuc i t. d., a leczy się je tylko „zamawianiem“.

Mężczyźni, nie mówiąc już o kobietach, są okropnie niekulturalni: rolnicy z nich żadni, nie wierzą w skuteczność sztucznych nawozów i niczem przekonać się nie dają; skutek taki, że 65 proc. nadziałów leży u nich odłogiem. Za to głównem ich zajęciem jest kradzież z lasów rządowych i obywatelskich, które przepalają na węgle lub rąbią na wiązki, dostarczając Żydowi do Wilna, gdzie ten je nabywa wzamian za chleb i inne produkty, udzielane o 20 proc. drożej niż u chrześcijan. Bydło hodują mieszkańcy Rudnik według ilości dzieci. Na 547 osób płci obojga przypada dwóch ludzi, którzy umieją podpisać się po rosyjsku, po polsku zaś niema ani jednego—a przecie niektórzy modlą się z książek do nabożeństwa. Próbowano namawiać do założenia szkółki i rozbicia ziemi na kolonie, a wówczas oni zarzucili władze prośbami o wzbronienie tego. Jednocześnie nie sposób jest przejść się po ulicy, aby nie

narazić uszu na słówka z rosyjskiej encyklopedyi ludowej, używane w mowie potocznej pomiędzy członkami rodzin, wielce zdemoralizowanymi. Gdy noc nadejdzie, włościanie udają się na odwiedziny karczmy Icka. Icek z synami posiada kilka domków i piwiarnię. Stąd płynie demoralizacja. Był chłopiec ma kredyt u niego na piwo i inne produkty po nader wygórowanych cenach. Nic też dziwnego, że grunta włościańskie przypadają Żydowi darmo pod składy drzewa i zabudowania. Odczuwać się daje brak wielki przewodnictwa moralnego. Dworów naprzykład niema, o instruktorach rolnych nie słychać, wszyskiem zaś dla nas pozostaje jeden jedyny Icko z synami“.



— Na ostatniem posiedzeniu istniejącej przy krakowskiej Akademii Umiejętności komisji historii sztuki odczytano między innemi pracę p. Adolfa Szyszki Bohusza o synagogach żydowskich w Polsce, a mianowicie o synagogach w Przedborzu, Szydłowie, Wyszogrodzie i Łęczycy. W pięknej tej pracy, bogato ilustrowanej rysunkami i fotografiami, autor wykazał ogólne znaczenie synagog dla dziejów naszego budownictwa i uwzględnił w szczegółach ich tak interesującą i charakterystyczną ornamentację. Przewodniczący komisji, prof. dr. Marian Sokołowski, zapowiedział z tego powodu wydanie osobnego zeszytu Sprawozdań, poświęconego wyłącznie sztuce żydowskiej, do którego obfite materiały są już zgromadzone.



— Z Gniezna piszą do „Kuryera Poznańskiego“:

Rodzina hr. Kwileckich w Wróblewie pod Szamotułami posiada w powiecie gnieźnieńskim wyspę około 30 mórg rozległości na jeziorze w Lednogórze. Na tej wyspie znajduje się wielka ruina ramku, w którym podług starych kronik w r. 1000 król Bolesław Chrobry przyjmował cesarza niemieckiego. Dziwna rzecz, że ani właściciel tej ciekawej, dziś już szybko upadającej ruiny, ani rząd pruski nie podejmuje żadnych kroków w celu zachowania tak cennej pamiątki przeszłości.



**TREŚĆ:** *Kazimierz Rakowiecki*—„Pomniki przeszłości i rocznice dziejowe“ (z 2 ilustr.); Dwory, zamki i pałace—4. „Dwór w Zagości“ (z 1 ilustr.); *G. Smólski*—„Lud Polski na Górnych Węgrzech“ (c. d.); *Janina Rodysówna*—„Wrażenia z wycieczki w Nowogródzkie“ (z 4 ilustr.); *Juliusz Huret*—„Na wybrzeżach Bałtyku“ (tłum.); *Boruta*—Gawędy Krajoznawcze. III\*; Nowe książki. Z piśmiennictwa. Kronika Krajoznawcza. Ilustracja po za tekstem: „Szlachcic zaściankowy z Mińszczyzny“.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki—Składał i łamał Stefan Turobojski—Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński.—Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**